Lwów, 22. Czerwca **№ 74.** Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobote.* We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po **1 1/2** kr. i za dopłatą **10** kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

GWIAZDA.

Epizod z życia wygnańca.

(Dokończenie.)

Posługacz uwierzył memu przyrzeczeniu i mówił dalej, trzymając jednak zawsze na wypadek, bryłę lodu.

— Drugiego dnia słabości pańskiej przybyła do furty szpitalnej dama w towarzystwie starszej, i zażądała widzenia się z chorym bratem swoim. Wymieniła nazwisko pana, lecz prosiła oraz lekarza, aby ze względu na stan zdrowia chorego, nie draźnić go tem doniesieniem, że jego siostra do niego przyjechała. Mówiła, że pan ją wielce kochasz, a jeźli się dowiesz o jej przybyciu, możesz się na zbyt unieść uczuciem, co przy pańskiej słabości wiele szkodzi. Żądała więc tajemnicy aż do wyzdrowienia, mimo to starała się o wygody pańskie więcej niżeli siostra! Zdaje się mi — dodał wykrzywiając swoje i tak krzywe usta i odmieniając lód, zdaje mi się, że to siostra jakaś daleka...

Nie zważając na jego dowcipne spostrzeżenie zapytałem się go tylko, kiedy i ile razy mnie odwidziła, co porabiała, gdzie siedziała...

— Jużciż o siostrę tak roztrzepanie nikt się nie pyta, więc jeźli zechcesz pan być cierpliwym, a osobliwie strzedz się od ataków mózgowych, to pojedyńczo na te pytania poodpowiadam.

Tutaj z bezprzykładną nielogicznością rozpoczął posługacz swoje opowiadanie, którego formą więcej mnie rozdraźnił, niżeli zaspokoić zdołał.

Dowiedziałem się jednak z tego, że nieznajoma w szpilu za moją siostrę uchodziła, i z nadzwyczajną troskliwością swoje incognito wszystkim nakazywała. Kilka razy na dzień żądała dokładnego raportu o stanie mego zdrowia, a w chwilach niebezpiecznych czuwała wraz z lekarzami przy mojem łóżku.

— Czy nie była ona dzisiaj rano tutaj?— zapytałem skwapliwie.

— Tak jest, była, pan właśnie mówiłeś wiele przez sen.

— Czy nie położyła ręki na moje czoło.

— Tak jest, trzymała rękę na czole, bo pan mówiłeś przez sen, że chcesz umierać.

— Jakim językiem mówiłem? — czy ona zrozumiała?

— Z polska mówiłeś pan. Ona nie zrozumiała, ale lekarz jest Szlązak i jej wytłumaczył. Mówiła przytem że język polski zapomniała, bo od dziecka chowała się we Francyi. Przyjazdem swoim chciała panu uczynić niespodziankę, ale żeś mocno słaby, więc prosiła o milczenie. Wszystko to nie kleiło się jakoś, ale lekarz wziął to za dobrą monetę. Nawet na jej żądanie, powiedział dwa słowa po polsku, które ona do pana wymówiła. Jeźlim dobrze zrozumiał, chciała ona, abyś pan tak prędko nieumarł. Poruszenie pana wystraszyło ją ztąd, i kto wie, czy kiedy przyjdzie. — Pan wiele tracisz na tem, ale i ja niemało!...

Te szczegóły, które aby was nie nudzić, ryczałtem kładę w usta posługacza zakładów, przyszły do mej wiadomości, drogą nader rozległej sokratesowej metody. Poznałem jednak z tego, że moje życie i choroba ważyły się pod cudowną opieką władającej mną kobiety, i że w chwilach delirium wolą swoją i wpływem magnetycznym, przechyliła szalę na stronę życia.

Przejęty wdzięcznością zacząłem myślić i marzyć o niej.

Każda nerwowa słabość ma to do siebie, że przebywszy kryzys, przychodzi chory szybko do zdrowia. Co godzina czułem się zdrowszym, ale się z tego bynajmniej niecieszyłem. Z każdą bowiem chwilą odzyskanych sił moich traciłem cząstkę nadziei obaczenia jej. Mój posługacz który jak się okazało, bynajmniej na mojem wyzdrowieniu nic nie tracił, przynosił mi wprawdzie codziennie najdziwaczniejsze w świecie raporta o mojej siostrze, które mnie jednak więcej niecierpliwiły, niżeli uspakajały.

Czternaście dni minęło, nim pozwolono mi wyjść trochę na świeże powietrze. W tym przeciągu czasu nic się bliższego o niej nie dowiedziałem. Posługacz mój w końcu tak się w swoich raportach powtarzał, żem zaniechał więcej go się pytać. Incognito mojej siostry było wybornie i z talentem ułożone. Widziałem tylko, że ktoś czuwa nademną, że uwzględnia najmniejsze moje potrzeby, ale podającej mi to wszystko ręki nigdy nie ujrzałem. O pewnych godzinach podeszła kobieta ze sługą, oddawała memu posługaczowi przyniesione rzeczy, a nie wchodząc w żadną konwersacyę, oddalała się szybko, zasiągnąwszy dla siostry sprawozdania o mojem zdrowiu.

W trzecim dniu moich przechadzek po ogrodzie szpitalnym, ujrzałem na pobliskim wzgórku, który jednak był poza obrębem muru ogrodowego, dwie kobiety stojące, których twarze zwrócone były na ogród. Serce nderzyło mi mocniej, utkwiłem w nie oczy. Nie omyliłem się. Je-

dna z nich powionęła białą chustką ku mnie kilka razy, a zanim jej podobnym znakiem odpowiedzieć zdołałem, już obie zniknęły za wzgórzem. Ulicą, gęsto wysadzoną drzewem, usłyszałem turkot powozu.

Miałem noc bezsenną. Nazajutrz napisałem do niej kilka wierszy i oddałem memu posługaczowi. Treść listu była krótka i przyzwoita. Mówiłem w nim, że dłużej nie zniosę tego, abym odbierając dowody tak szlachetnej opieki, nie poznał mojej opiekunki. Ostateczny mój cel jest, widzieć ją i podziękować jej. Więcej wygnańcowi życzyć sobie nie wolno. Inaczej zagroziłem powrotem słabości.

Zaraz pod wieczór dostałem odpowiedź. Była ona niemal tej treści:

„Panie! Tylko ze względu na jego stan zdrowia odpo-
„wiadam mu. Mnie nudzić teraz nie możesz, a nawet te-
„go sama sobie nie życzę. Są chwile w życiu, w których
„powinniśmy się modlić: „Nie wodź nas na pokuszenie.“
„Któż jednak odgadnie istotę serca, kiedy ono błądzi, a
„kiedy dobrze czyni? Tylko przypadek jaki może nas
„zbliżyć, a chociaż przypadek jest dziełem nieprzewidzianem,
„lub zrządzeniem wyższem, mogą być atoli przypadki,
„*ręką ludzką naumyślnie kierowane*. Świat nasz wymaga
„formy, a za taką formę musi często służyć przypadek.
„Więc nie odtrącaj go, jeźli nadejdzie, jak dotąd go nigdy
„nie odtrąciłeś, a może się spełni, co sobie życzysz.“

„Gwiazda.“

Odczytawszy list, zamyśliłem się nad dziwacznym jego stylem, a jeszcze więcej nad znaczeniem miejsc niektórych. Był on zasobnym tematem do myśli i marzeń na cały czas pozostania mego w szpitalu, a gdym takowy za sobą postawił, poznałem niestety, żem skarbów jego stylistyki jeszcze nie wyczerpał, ani jego znaczenia nie odgadł.

W pierwszych chwilach trawiącej jakiej choroby, radzimy się lekarzy, zażywamy lekarstwa, jedziemy do kąpiel, a gdy to wszystko nie pomoże, każemy sobie otworzyć ranę, którąby mogła częściowo ujść niewyleczona choroba. Rana ta jest wówczas złem potrzebnem, a często staje się nawet dobrodziejstwem.

Taką ranę wyniosłem z mojej wielkiej choroby moralnej, odzyskawszy zdrowie fizyczne. A chociaż czułem ból dolegający, myślałem jednak że ten ból koi we mnie daleko większe cierpienia, jak piekąca i gryząca tynktura łagodzi ból zębów.

Z tą raną wmieszałem się znowu między żyjących. Stosownie do odebranego listu, wyrzekłem się chęci szukania jej, a natomiast czekałem niecierpliwie na przyobiecany „przypadek.“

Z Rossyaninem widywałem się wprawdzie, ale o naszych przygodach przestaliśmy mówić, bo jak dla mnie nocna gwiazda, tak dla niego owocarka, stała się niewidzialną. Powoli poczęliśmy się nawet wstydzić wzajemnie przed sobą z naszego zwierzenia się, które przy kolorach rzeczywistych, wydało nam się złudzeniem niepospolitem, lub wizyą histeryczną.

Po wyjściu mojem z szpitala upłynęło tym sposobem dwa tygodnie.

Jednego dnia, czytając dziennik w kawiarni, zbliżył się do mnie młody mężczyzna, którego znałem z widzenia jako Włocha. Przegrawszy partyę szachów, zabrał ze mną bliższą znajomość, i zaprowadził mnie na rewanż do siebie. Dowiedziałem się, że był synem pewnej wysoko urodzonej Włoszki, której kuzyn, hrabia * * * zajmując w swoim kraju jednę z wyższych posad rządowych, przez zbieg okoliczności i wypadków o zbrodnią stanu oskarżony oczekiwał na fortecy jako więzień wyroku kary.

Familijne stosunki z więźniem spowodowały hrabinę*** do wzięcia udziału w jego losie, i osłodzenia mu onegoż.

Pewnego dnia poszedłem do Włocha na rewanż.

Służący w liberyi otworzył mi drzwi.

Zapaliliśmy cygara i zasiedli do gry. Po kilku partyach wszedł służący, i dał znać, że hrabina prosi na herbatę.

Młody mój znajomy przedstawił mnie matce, która mię przyjęła serdecznie, jakby dawnego jakiego znajomego; a gdy mnie to nieco zdziwiło, rzekła głosem pełnym słodyczy:

— Przebacz pan, jeźli, ubliżam formułkom świata, i odrazu przyjmuję pana jako przyjaciela domu. My kobiety ulegamy często potędze naszej wyobraźni, a w co się wmyślimy lub co często słyszymy, zdaje nam się, żeśmy to na własne oczy widziały. Mój syn tyle razy wspominał nam o panu, tyle nam opowiadał szczegółów z dziwnych kolei jego losów, że imię pana słyszałam jako imię dawnego znajomego.

— Szczęśliwym się sądzę — rzekłem, że pani, nieznajoma, raczyłaś myśleć o nieznanym ci wygnańcu, którego pamięć u tych, którzy go znali, może na zawsze przepadła.

— Los pana nie upoważnia cię bynajmniej, abyś mógł zadać fałsz wszelkim prawdom religii i społeczeństwa. Życie nasze różni się tylko formą zewnętrzną, a kto jej istotę zbada, ten wie, że pod tą osłoną są wszędzie łzy i cierpienia!

— Pozostaw mi pani uczucie dumy, a nie upokarzaj mnie więcej. Każdy umysł ma chwile słabe i pani je podsłuchałaś; lecz będzie to dla mnie nauka, aby nigdy nie dać ucha zwątpieniu lub niecierpliwości. Kilka chwil towarzystwa pani wiele mnie naucza.

— Jeżeli panu miłe jest towarzystwo nieszczęśliwych, to chciej pan nas częściej odwiedzać.

— Pani jesteś zbyt łaskawą.

— Nie bądź pan zbyt grzecznym; nieszczęście zbliża nas do siebie. Przed kilkoma dniami byłam zapytaną w pewnem kole, do jakiego stronnictwa, wedle moich zasad

należę. Należę — odpowiedziałam, zawsze bez względu na zasady, do stronnictwa nieszczęśliwych. Bo jakże nie należeć do tych, którym pokrewne same jesteśmy? I właśnie przyszedłeś pan w wilią ostatniego aktu, naszej domowej tragedyi!...

Jutro rano usłyszy mój brat wyrok kary swojej!...

Otarła łzy z oczu; nie przerywałem jej bolu.

— Chcesz pan być świadkiem tego tak smutnego obrzędu, podjęła po chwili, to oczekujemy pana jutro rano.

Przyobiecałem.

Rozmowa dalsza, smutna jak step bez chmurki i zdroju, toczyła się późno w wieczór, przerywana częstem odejściem gospodyni. Z kilku rzuconych słów domyśliłem się, że ktoś w domu jest chorym.

Pożegnałem się.

Noc miałem prawie bezsenną, a dziwny jakiś niepokój ogarnął mnie. Sądziłem, że to było współczucie dla nieszczęśliwej rodziny.

Nazajutrz rano wybiegłem na ulicę. Machinalnie ubrałem się czarno, bo zdawało mi się, że mi proszono na jakiś obrzęd pogrzebowy.

Ranek był smutny i przykry. Gruba, wilgotna mgła zaległa mury fortecy, słońca widać nie było. Na ulicy było pusto i głucho.

Pod wpływem najdziwaczniejszych, nieodgadnionych wrażeń udałem się do pomieszkania hrabiny.

Z daleka już postrzegłem przed jej domem jakiś ruch nadzwyczajny. Służący biegali w nieładzie tu i owdzie; ekwipaż hrabiny był w ciągłym ruchu, zwoził i wywoził różnych, nieznanych mnie ludzi, a to wszystko z takim pośpiechem, jak by i chwili czasu do stracenia nie było. Zadziwiło mnie to spostrzeżenie, lecz domyślając się, że to wszystko stoi w styczności z dzisiejszym wyrokiem, przyspieszyłem kroku, z obawy, abym za późno nie przyszedł.

W przedpokoju nie zastałem nikogo, świec kilka paliło się na stole ubocznym. Widać, że je zapomniano zgasić.

Z przykrem przeczuciem wszedłem do pobocznego salonu.

Hrabina zebrana w czarnej sukni, stała śród kilku mężczyzn, z których ułożenia i rozmowy można było się domyślić, że to byli lekarze.

Przeczuwałem jakiś wypadek; zbliżyłem się do hrabiny.

— Wdzięczną jestem panu, rzekła do mnie, za udział jaki pan bierzesz w naszem nieszczęściu. Co dzień, co godzina potęguje się nasze nieszczęście, dzisiaj jestem nieszczęśliwszą, niż wczoraj, a za godzinę, czeka mnie cios nowy!...

— Nie chęć pocieszenia, do czego nie czuję dosyć siły i powagi, ale szczera chęć dzielenia tego nowego smutku, każe mnie się pytać o jego powód?

— Jest to rana nie zagojona — wyrzekła hrabina — aby ją przeboleć, trzeba coś więcej kochać jako ideał życia, niż to, co jest ziemskie. Nie znałeś pan jej, naszej kuzyny, Oktawii. Był to anioł dobroci! Uleciała dzisiaj z pośród nas, jak nadzieja z duszy rozpaczającej! Mój brat był jej opiekunem; wdzięczne jej serce nie zniosło ciosu, który trafił jej dobroczyńcę. Poświęcała się dla niego różnym sposobem, aby mu osłodzić cierpkie chwile więzienia. Od kilku dni była cierpiąca; wczoraj, wiadomość wyroku zadała jej cios śmiertelny. Słabe jej nerwy nie wytrzymały tak silnego ataku. O godzinie pierwszej z północy przestała cierpieć razem z nami! Oby była geniuszem naszej niedoli!

Hrabina otarła łzy z oczu; ja stałem nieporuszony. Dziwne uczucie owładnęło mnie. Lekarze rozmawiali o ostatnich chwilach konającej i zgodzili się w zdaniu, że przyczyną tak niespodzianej śmierci była długa, cicha melancholia i ztąd pochodzący anewryzm.

Służący zapowiedział, że powóz czeka.

Hrabina zaprosiła prócz syna, mnie i jednego z lekarzy do swego towarzystwa.

Wyjechaliśmy z fortecy, za drugą linią fortyfikacyjną.

Na obszernej przestrzeni sformował batalion żołnierzy, czworobok. Po chwili przyjechał hrabia i stanął w pośrodku. Nastąpiła ceremonia odbierania orderów. Wyrok brzmiał na lat dziesięć więzienia w fortecy.

Cały ten akt, rzecz dziwna, nie sprawił na mnie oczekiwanego wrażenia. Hrabina, było widać, przymuszała się do męstwa i obojętności. Ja zaś, ulegałem jakiemuś dziwnemu uczuciu. Scena wydawała mnie się za mało drastyczna; oczekiwałem jeszcze czegoś, co nastąpić miało, a czego dotąd odgadnąć nie mogłem.

Milczenie panowało między nami.

Wróciliśmy do pomieszkania hrabiny.

— Stało się — rzekła hrabina, wysiadując z powozu, spełniwszy jeden czyn miłosierdzia, spełnijmy i drugi. Nawiedzimy umarłą i pomódlmy się za nią.

W pokoju tymczasem ustawiono katafalk i zapalono świece.

Wszedłszy ujrzałem leżącą postać w przejrzystej bieli, od twarzy aż po ręce nakrytą białym atlasem.

Hrabina, skończywszy modlitwę, wstała, skinęła w milczeniu na mnie i odkryła z twarzy nieboszczki atłasową osłonę.

Szybko zbliżył się do mnie młody hrabia.

— Znałeś pan ją? — zapytał się półgłosem, Stellę Oktawią? Przypadkowi, którym chciała kierować ręka ludzką, przeszkodził przypadek z góry!

Osłupiałem. Spojrzałem na twarz umartej, kapelusz wypadł mi z ręki.

— Qu' avez vous, monsieur? — zapytała się zdziwiona hrabina.

— Nic, nic — odrzekłem szybko, bo mi tchu w pier-

si zabrakło — jakieś ciemne, dalekie przypomnienie... podobieństwo...

— Pewnie do jakiejś panu drogiej, a dzisiaj nieszczęśliwej osoby! — dodała hrabina spuszczając zasłonę.

— Bynajmniej, do pewnej dziewczyny, którą widziałem sprzedającą wisznie.

— Odgaduję — rzekła hrabina — to byłeś z Rossyaninem?

— Tak jest.

— Ostatnie jej słowa były rozporządzeniem jałmużną, którą od was otrzymała. Chciała to sama uczynić w Loretto, ale Bóg tego nie chciał. Święcie wykonam jej wolę. Rola owocarki była jednym z jej licznych poświęceń dla swego opiekuna. Aby go dłużej, choć z daleka, widywać, gdy się przechadzał po dziedzińcu swego więzienia, i aby nie zwrócić uwagi straży, obrała sobie ten sposób niewinny!

Luba, szlachetna Oktawia! kochana nasza Stella! oby nam była gwiazdą opieki!

Hrabina zamilkła, a ja zwróciłem się machinalnie do jej syna w oczekiwaniu, że jeszcze od niego coś usłyszę.

Lecz ten stał niemy i niepocieszony jak zarządca widowiska, któremu śród działania zabrakło aktora głównej roli!

Uczułem potrzebę samotnej przechadzki — pożegnałem się.

Wyszedłem za fortecę.

Przy stosach kul, jak zwykle zatrudnionego zastałem Rossyanina.

— Poruczniku — rzekłem, możesz iść śmiało na wyprawę. Prognostyk stoczenia się kul, tyczył się tylko dziewczynki, o której marzyłeś.

— Zapewnie chora — odpowiedziałem obojętnie.

— Więcej jeszcze.

— Umarła; spodziewałem się coś podobnego — dodał nie zmieniając usposobienia.

Krótko opowiedziałem mu zdarzenie.

— Więc byłeś moim rywalem — dodałem po chwili, podając mu rękę.

— Wiedziałem o tem — odparł zimno artylerzysta, odwdzięczając uścisk.

— Cóż to dla Boga, same zagadki?

— Najprościejsza logika. Widziałem, jakie wrażenie zrobiła na tobie ta dziewczyna, i poznałem, jak ukrywając to wrażenie przedemną, chciałeś je we mnie zniweczyć z zazdrości. Tyś sam o tem nie wiedział. Lecz ja ci przebaczam.

W oku jego błysnęła łza.

— — — — — — — — — — —

Wróciwszy do pomieszkania, zastałem tamże sierżanta, który mi oznajmił, że za godzinę udamy się na kolej żelazną. Zdawało mi się, że mnie opuścił duch opiekuńczy, i że z cichej przystani porywają mnie wichry na morze burzliwe. Bez nadziei w przyszłość urwał się ten tajemniczy epizod mego życia, do ostatniej chwili pełen zagadek.

Siadając do wagonu, zapytałem się, dokąd jedziemy.

— Nie wiem — była odpowiedź.

* * *

Na tem skończył opowiadanie o tym ustępie z życia swego nieszczęśliwy wygnaniec. — Powtórzyłem je tu prawie dosłownie. Co się z nim dalej stało zapytacie? Ha może później opowiem wam, jeźli zainteresowała was jego postać.

J. Ch. Zachariasiewicz.

TYMOLEON Z KORYNTU.

I.

Z Akrokoryntu cudnej przystani,
Dziesięć naw płynie po wód otchłani,
A lud je żegna okrzykiem,
I błogosławiąc bogom poleca:
«Niechaj wam niebo drogę oświeca,
«W żegludze po morzu dzikiem.

«Płyńcie o bracia do Syrakuzy,
«Twierdze tyrana obróćcie w gruzy;
«Niech prawa ludów nie targa!»
A Tymoleon tam na pokładzie,
Rękę na sercu z przysięgą kładzie:
Że w hymn zamieni się skarga!

I odpłynęli, i znikli w dali,
A do Koryntu wrócił ślad fali,
I głośno bije o brzegi:
«Od Syrakuzy wiatr mię przynosi,
«Słuchaj Koryncie! fala wieść głosi:
«Zniszczone wrogów szeregi.»

«W Sycylii płoną dziś hekatomby,
«Sławę Koryntu rozgłoszą trąby;
«Dyoniz miastem niewłada.
«Tam Tymoleon i z swobodnymi,
«Zwalczył tyrana na bratniej ziemi,
«A teraz w radzie zasiada.»

II.

Po Dyoniza zwalonym grodzie,
Wolnego ludu płyną powodzie,
Głos leci skrzydłem latawca:
„Sławmy o bracia Koryntu syna!»
A z rąk matczynych rwie się dziecina,
Spojrzyć gdzie ojciec, gdzie zbawca?!

Dziewice drogę ścielą kwiatami,
Echo o morza bije pieśniami;
W mieście weselne dziś gody.
Ha! czy widzicie Tymoleona,
Na jego skroni z laurów korona,
«Witaj o mężu swobody!»

I w Syrakuzie starców gromada,
Z palmami w ręku rynek obsiada;

Czyj głos do serca tak sięga?!
To Tymoleon, ludu obrońca,
Dzieło swobody wiedzie do końca,
Z ludem ustawy przysięga.

Patrzcie jak cudna twarz bohatera!
O! jak swobodnie w niebo spoziera,
Że mu dotrzymał przymierza,
I łzą radości oko się rosi,
I serce łonem dumnie podnosi,
Bo serc tysiącem uderza!

* * *

III.

Czyjże to rydwan do Syrakuzy,
Naród z hymnami ciągnie przez gruzy?...
Patrz na nim starzec zgrzybiały!
Słodycz niebiańska krasi mu lica,
Choć oczy kryje wieczna ciemnica,
Co w boju słońcem pałały.

Młodzież uwieńcza rydwan bogaty,
I kornie starca całuje szaty;
Miłość zwierciedli wzrok łzawy.
I biją głosy: „Tymoleonie!
„Ty żyjesz wiecznie we wdzięcznem łonie.
„Swięte nam twoje ustawy!"

Starzec ku niebu obrócił lica,
Radość mu skronie blaskiem oświeca,
Rękę do serca przykłada.
Lecz nagle zadrżał, pobladły skronie.
Ha nitka życia pękła mu w łonie:
Zabity szczęściem upada!

Skwar mu na bojach wypalił oczy,
Łza z ciemnej rzęsy już się niestoczy,
Skryła się tam za powieki.
A wdzięczność ludu wybawionego,
Tak rozrzewniła wybawcę swego,
Że szczęśliw' usnął na wieki!

* * *

Grobowiec stoi na rynku miasta,
Nad nim swobodnie palma wyrasta,
Tymoleona to szczątki.
Lud Syrakuzy z wiosny powrotem,
Co rok tam płynie wesołym splotem,
Uwieczniać męża pamiątki.

Mieczysław R.

Michała Grabowskiego list drugi o dzisiejszem powieściarstwie.

(Ciąg dalszy).

W Smigielskim, początek mianowicie powieści, obrazy rodziny późniejszego pana starosty, obraz dworu Wojewodzińskiego i stosunków familii patrona i jego sługi, są tak barwne i pełne drobnych a dokładnych szczegółów, że koniecznie chce się to brać za wierzytelny pamiętnik owego czasu, chociaż widocznie to ogólna tylko znajomość staropolskich obyczajów, odświetlona tak doskonale w pojedyńczym wizerunku. W Lizdejku, tej samej natury obrazki domowego staroświeckiego bytu, są równie trafne; pan *Drohostaiski* jest znowu figura pełna życia; autor podniósł ją do wymagań dramatu; jeżeli zaś kto upatruje, że wybiega ona za granice samowoli polskiego magnata, (jak mi to się słyszeć zdarzyło) taki dowodzi, że w obyczajowości polskiej przywykł upatrywać największą jednostajność, co było długi czas bardzo pospolitem wejrzeniem, a na czem nie wiedzieć jeszcze co więcej szkodowało, czy prawda historyczna czy sztuka?... W tym nareszcie Lizdejku, tak żywe, charakteryczne postacie zbrojnych wywołańców, podczas najazdu szwedzkiego, są prawdziwe zdobycze dla świata historyi. Tak więc *Cześnik Parnawski* nie tylko rozpowiedział o pokoleniu, z którym żył, mnóstwa najciekawszego, ale zaszedłszy między przodków, okazał się równie świadomy, równie trafny malarz pierwszy raz dojrzanych szczegółów. Szersze ramy powieści, osnowa historyczniejszej treści i odleglejsza epoka posłużyły mu tylko do oddania narodowego obyczaju, którego dotykał; i w tej więc przeszłości jest jeszcze pisarzem źródłowym, bujnym, z niepoczętego wątku snującym, nie czerpiącym z pisanych dziejów, ale je owszem dopełniającym, co nasze romansopisarstwo historyczne odróżniło stanowczo od najszczęśliwszych gdzie indziej prób tego rodzaju. Kiedy zaś *Listopad, Zamek, Śmigielski*, historyczne powieści dowiodły, że żywa tradycya nie tylko dostarczyła gotowych faktów, ale nauczyła jak nowe odkrywać, że obdarzyła rodzajem intuicyi w pojmowaniu przeszłości, i została przewodnikiem imaginacyi, puszczającej się na odkrycia, wtedy poznać już można było, że wypadek literacki, który nas tak bardzo uradował, może mieć jeszcze przeważniejsze następstwa.

Jednocześnie z pismami Rzewuskiego, wychodziły z pod drugiego pióra, przecudowne obrazki, w których wszyscy z największem upodobaniem poznawali wierne i pełne koloru wizerunki obyczaju narodowego. Były to *Obrazy litewskie* p. Ign. Chodźka. Jeżeli prawdą jest cośmy twierdzili, że hr. Rzewuski znalazł gotową treść do pism swoich w bogatej tradycyi familijnej, to niemniej widoczna, że pan Chodźko malując obyczaje exystujące w swojej prowincyi, zapisując pamiątki niedawne, kreśląc fizyonomie ludzi, których pamiętał, których znał, nie *tworzył* jeszcze ale *odtwarzał*. Litwa, mniej ubiegająca się za reformami niż właściwa Polska, zachowała dłużej obyczajowość narodową, tradycye przeszłości były w niej obfitsze; charaktery umysłów i serc razem prostsze a głębsze, spokojniejsze a stalsze, zachowały piętno wyraźniejsze odrębności.

Jak skoro się więc zjawił pisarz, umiejący malować udatnie sceny codziennego bytu, w najpowszedniejszych, w najprostszych, przejawiał się pewien kolor, odmienny i poetyczniejszy jak wypłowiałej gdzieś indziej potoczności. Był to odcień dawnego rodzinnego obyczaju, zachodzącego na dzień obecny z odległej przeszłości, przechowującego się

w bycie wiejskim, w klasach pośrednich, w prowincyi spokojnej i skromnej. Pryzmat, przez który odbijał się dla nas ten obyczaj, był najdoskonalej dlań stosowny, pryzma niepojętej przejrzystości i jasnoty, skupiający promienie światła, odświetlający same strony piękne, koloryzujący nawet (choć zaledwie rozpoznać to można było) przedmioty, ciepłem duszy artysty i rzewnością jego serca. Naturalnie powszechne spółczucie i zachwycenie wywołały te obrazki; ale dla nas o to w tem miejcu chodzi, że p. Chodźko zaczął od odtwarzania scen potocznych, z tą tylko w nich cząstką tradycyi przeszłości, z tą tamtych barwą i żywiołem, jakie w nich rzetelnie jeszcze były na Litwie. Pierwsza serya *Obrazów litewskich* składa się cała z obrazków spółczesnych. *Domek mojego Dziadka, Śmierć mojego Dziadka, Boruny,* są żywe wspomnienia z lat dzieciństwa autora. Tak samo jedna z najdoskonalszych powieści polskich (kto wie czybym nie powinien był powiedzieć, najdoskonalsza) *Brzegi Wilii,* nie sięga dalej jak w epokę młodości powieściopisarza. Jeżeli zaś w swej całości i w każdej cząstce tak pełno ma wysokiego i świeżego koloru, to nadają go: charakter obyczajów, które (jak powiedzieliśmy już) przechowały się dłużej, jak gdzie indziej, w *Litwie*, podania miejscowe, tak umiejętnie wsnute przez autora w jego opowiadanie, dostatnie i mistrzowskie krajobrazy, ślicznej tej powiastce za tło służące, a nadewszystko cudowne misterstwo które nie mogąc inaczej, nazwałem *pryzmatem*, podwajającym jasność, wdzięk i życie każdego przedmiotu, na który go p. Chodźko skieruje. Jeszcze raz powracamy do naszego założenia, że autor *Obrazów Litewskich*, zacząwszy od wizerunków spółczesnych, jak *Kraszewski,* jak *Korzeniowski,* powoli dopiero i krok za krokiem, cofał się w przeszłość. W *Kwestarzu* już ten krok znaczny. Lubo epoka akcyi jest około 1812 r. ale wsnute w rzecz opowiadania, są całkiem tradycyinego wątku; figuruje w nich jak w Rzewuskim *Książę Panie Kochanku*, a nawet dramat śmierci *Włodkowicza* tu się dopełnia i w nowem świetle ustawia. Pojedyncze obrazki są także czasami staroświeckiej treści, ale rozwinione z taką pełnością, że postrzegamy to samo co w drugiej epoce Rzewuskiego: równą swobodę w traktowaniu przeszłości, tylko imaginacyą wskrzeszonej, jak tej którą jeszcze pamięć lub podanie uobecniały. W *Kwestarzu* także widzimy, że Chodźko powziął zamiar otworzyć nam swoją Litwę i w pamiątkach jej podaniowych, i w pamiątkach inaczej jeszcze bytujących. Jednym z najciekawszych ustępów tego dzieła, jest niewątpliwie obrazek cząstki naszego obywatelstwa, Tatarskiego pochodzenia i Mahometańskiego wyznania, którego typem jest zacny dom Bielaków. Ten obraz Tatarów litewskich, daje nam przeczuwać autora, który nam odsłoni później całą jednę prowincyą: *Żmudź*.

Dworki na Antokolu trzymają się także czasów księcia Karola Radziwiłła, który tu nawet jako działająca osoba wchodzi; wszystkie postacie są tamtoczesne, a naturalne i żywe jakby z natury wzorowane; na czele zaś wszystkich, nieporównany pan Porucznik. Nigdy przedtem nie widzieliśmy tak doskonałego typu wojskowego z czasu poprzedzającego reorganizacyą narodowego wojska. W drugiej ćwierci niniejszego wieku widzieliśmy niemało żołnierzy, uczestników wojny 1792 roku, ale było to już nowe pokolenie względem wojska zreorganizowanego w roku 1789. O tamtem mało było szczegółów dokładnych; ubiorów nawet tych hussarzy i pancernych (wyjąwszy uroczystych, to jest tradycyonalnie jednakowych, w których jednak obyczaj różnoczasowy musiał choć lekkie modyfikacye wprowadzać) nieznaliśmy; ktośkolwiek zapamiętał szczątki z tych czasów, dogorywającego już wieku (np. nieboszczyk Micowski, autor Pamiętnika, który ja wydałem) ale tam z wizerunku starca, nie mogliśmy poznać swego czasu junaka. Sprawił nam dopiero tę pociechę pan Chodźko; wystąpił przed nami pan Porucznik w całym przepychu swej elegancyi wojskowej, złocisto i strzępno, — w całej paradzie swego karabana, tazantów i woźnicy „dającego ognia;“ z niewyczerpaną zalotnością nawet po przeżyciu trzech żon, a szczególniej z historyą tych ożenień, w której tak wybornie wiek i obyczaje świecą. Jest w tem zapewne podanie podania, ale jakże to doskonałe ich użycie! Widzimy znowu tu to, cośmy postrzegli w historyi utworów Rzewuskiego, że albo między tradycyami narodowemi żyły sięgające w bardzo daleką przeszłość, albo, co podobniejsza, posiadacze tego spadku rodzinnych pamiątek, uobecniali sobie cały przestwór krajowej przeszłości, i ożywiali go ile razy zechcieli, obrazami zdarzeń i ludzi wymyślonych, ale cudownie odgadnionej prawdy. Autor który nam okazał na żywe oczy staroświeckiego wojskowego, jakby miał w chwili, kiedy go wyprowadził na scenę, lat ze sto, niema więcej trudności wystawić nam takiego, któryby miał ze sto piędziesiąt. W jednej z powieści jego, widzimy pełen niezapoznanej prawdy wizerunek powrotu rycerskiej drużyny, która wojowała za Leszczyńskim; widzimy przed sobą zebraną szlachtę ochotną a niesforną, widzimy jej jaśnie wielmożnego rotmistrza, a nadewszystko przybocznego jego przewybornego Bekieszkę, *quis scit co za górą!* (D. n.)

Rozmaitość.

Ze Złoczowa. J. R. N. Tandem tedy i nas niebiosa miłą niespodzianką obdarzyły, zsyłając radykalne lekarstwo na wieczorne nudy liliputowskiej stolicy: teatr polski pod dyrekcyę pana Teofila Borkowskiego. Teatr polski w Złoczowie!... wyznam szczerze, że nie z wielką skwapliwością spieszyłem na pierwsze przedstawienie. Wiodła mnie tam jedynie ciekawość oglądania owej trupy aktorów która uzbierawszy snopy laurowe w Kulikowie lub Buczaczu, odważa się nakoniec próbować szczęścia w stolicy obwodowej, bo jakżeż mogłem wymagać, spodziewać się czego po scenie polskiej, debiutującej w Złoczowie, kiedy dotąd nieprzypłynęło do nas nic innego, prócz linoskoczków, menażeryi i wiechcia, jak mówi dawne przysłowie.

Po pierwszem wystąpieniu mile odczarowany, a następnie po przedstawieniu dramatów Korżeniowskiego przesąd ustąpił miejsce przekonaniu, że towarzystwo pana Borkowskiego składa się częścią z uzdolnionych aktorów, częścią z młodzieży kształcącej się w dobrej szkole przedsiębiercy. Zaprzeczyć też nie można panu Borkowskiemu zasług położonych, kiedy odbywa mozolną wędrówkę w najodleglejsze zakątki kraju, i tam dozwala odżyć chwilowo pamiątkami lat ubiegłych, dozwala odświeżyć głowę i serce i usłyszeć nieskoślawiony język ojczysty, bo niekażdemu sprzyjają okoliczności, pokrzepiać się duchem narodowym, pielęgnowanym na scenie polskiej w stolicy. Teatr polski jest zatem pożądaną rozrywką, wspomnieniem przeszłości dla starych, szkołą życia dla młodzieży, jest dobrodziejstwem na prowincyi, za co przedsiębiercy z serca dziękować należy. Zaletą przytem największą pana Borkowskiego, że nie robi z posłannictwa swego rzemiosła, nie spekuluje na eksploatacyę miast zyskowniejszych, nie zwija chorągiewki kiedy mu źle się powodzi. Dowodem pobyt jego w Złoczowie, gdzie od kilkunastu dni gra w sali pustej w obecności zaledwie dwudziestu spektatorów, którzy mu mniej więcej 10 złr. dochodu brutto przynoszą.

Nie jest to moim zamiarem kreślić dokładną krytykę gry aktorów, zostawiam sobie to zadanie na czas późniejszy, dziś tylko pobieżnie o niej napomknę. W kilkunastu przedstawieniach odegrano następujące komedye i dramata: Fabrykant; Qui pro quo; Mieszczanie i Kmiotki; Recepta na złośnicę; Wąsy i Peruka; Staroświetczyzna i Postęp; Szkoda Wąsów; Okno na pierwszem piętrze; Włóczęga; Żebraczka. Panna *Gadomska* w rolach Starościny, Dorotki, Katarzyny, okazała zarówną znajomość garderoby, salonu i zagrody, oddała nie źle charakter intrygantki na dworze Stanisława Augusta, w roli Żebraczki jednak chwilę ociemnienia oddała zbyt blado, rozpacz jej po przekonaniu o swej ślepocie niemiała wyrazu głębokiego, przerażającej mimiki, którą p. Aszperger wsławiła, na koniec przy ostatecznem rozwiązaniu dramatu, w chwili uroczystej spowiedzi, kiedy długo ukrywaną przeszłość przecierpianych męczarni wylewała na łono sędziwego kapłana, wtedy to zbyt rychło, bo zaledwo za dotknięciem ręki męża, poznała ją po bliźnie od wilczycy, lotem łyskawicy z rzewnego opowiadania wpadła w radość szaloną. P. Gadomska nie zaprzeczy, że zadaniem artysty nietylko przejąć się i odegrać rolę wybraną, ale nawet błędy i usterki autora ile możności usuwać lub łagodzić. P. Gadomskiej talentu odmówić nie można, przebija się jednak w każdej niemal roli pewien rodzaj niedbałości, niewypracowania. Pan *Krawiecki* w roli dawnych polaków przypomniał nam czasem naszego Nowakowskiego, gra jego jednak wiele do życzenia zostawia, różnica między Starostą, Marszałkiem i panem Anzelmem nie wielka, rubaszna ruchomość i jestykulacya starca w życiu normalnem, mało różniąca się od żywej serdecznej gościnności witającego po 30to letniem rozłączeniu szkolnego kolegę pseudo Orgona, również i na zrękowinach Jedynaczki przy kieliszku; ten sam błąd popełnił w roli Pasiecznika; 80letni starzec kwilił się zbytecznie opowiadając zaledwie z pamięci odgrzebane miłosne przygody swojej Anulki. Rolę Starosty tylko oddał wiernie, gdyby nie manipulacya nieustanna chustką do nosa, z której w każdej roli zrobił integralną cząstkę polaka. Pan *Szram* zapowiada w przyszłości utalentowanego komika, gdyby nie steoretypowa mimika, która pimimowolnie nie przypomina, ale powtarza wybitnie w Baltazarze lokaja Orgona, w Orgonie gapia Józefa, w Józefie Kartacza i tak ad infinitum. Pan Benda w roli Drygalskiego otrzymał zasłużone oklaski, w roli Doktora Kazimierza powaga zachowana i rozumowanie cechowały myślącego człowieka w 30tym roku życia, przeciwnie ta sama powaga i zamyślenie, a raczej zapomnienie w roli 80letniego Baltazarka raziły niemiłosiernie. Pan *Gadomski* w rolach biernych Hrabiego Pantofla i ci devant liweranta Łupińskiego wierny i bez przesady, w roli zdemoralizowanego Klemensa bezbarwny i posągowy.

Po tem skreśleniu krótkiem talentów tej kompanii, słowo jeszcze o grze samego dyrektora pana *Borkowskiego:* W roli handlarza bydłem był niezrównany; gra jego we wszystkich ustępach komedio opery była bez przesady, tchnęła głębokiem przejęciem się, prawdziwem uczuciem niezepsutego serca Krakowianina; równie namiętny w radości jak i w oburzeniu, rozrzewniony, uradowany ściskał serdecznie, rozgniewany zabierał się do drąga; gra pełna prostoty, i niewymuszonej prawdy. A jednak role komiczne mniej przystają panu Borkowskiemu; dowiódł tego w roli Włóczęgi, Mimika zgłodniałego, moralnem i fizycznem cierpieniem skołatanego żebraka, rozpacz męża i ojca, nakoniec pierwszy krok niewprawnego zbrodniarza i przestrach nad omal co nie spełnioną zbrodnią, przypomniały nam sławnego naszego artystę Smochowskiego. Cóż ztąd, kiedy obok gry nienagannej jak fałszywa struna w dobrze nastrojonym instrumencie tu ziębi, tam razi: niesmak, zobojętnienie, chwilowa oziębłość lub ironia. Zkąd ten dualizm? Nietrudno mi zasłonę tej tajemnicy uchylić; przyczynę znajdziemy na parterze zasianym pięknym kwiatem w szczególniejszego rodzaju wesołości, którą tu *quand même* wyjawię:

28go z. m. dzien chmurny i zimny, przytem świąteczny zapędził kilkadziesiąt osób do teatru. Przedstawiano „Żebraczkę". Niebędę się mozolił krytycznym rozbiorem tego dramatu, który nie jedno pisemko rozbierało, sądzę jednakże, że każdy dramatyczny utwór moralny, podniesiony dobrą grą aktorów, zasługuje jeśli nie na współudział, na ocenienie, to przynajmniej na przyzwoite milczenie błogosławionej nieświadomości wyznawców; zkądże ta dzika myśl wydobywania z rzeczy najpoważniejszej, strony wesołej, śmiesznej? To zachowanie traci równie wesołością owego niewinnego zwierzątka, które z ogonem podniesionym skacze po murawie, uradowane, że go Bóg łaskawy stworzyć raczył. Otóż podobne przyczyny radości z aktu pierwszego, który skończył się wygnaniem żony występnej, przekleństwem zdradzonego, zhańbionego męża, starganiem domowego szczęścia, sieroctwem dziecka. Zapadła zasłona, a wesołe głosy z parteru smętną, stósowną melodię przerywały wołaniem: mazura, mazura! I pojawił się akt drugi, zemsta niebios, za popełniony występek, chwila spełnienia wyroku nieubłaganego: ociemnienie. Ustęp ten moralno-tragiczny komentowały wesołe śmiechy, naiwne dziecinne wykrzykniki, a muzyka weselem zagrzana, posłuszna, rzępoliła wesołe kontredanse i skoczne polki, które dziwnie licowały z treścią tragiczną przedstawienia. Trzeci akt powitano naprzód już wesoło, a rzewne opowiadanie dziecięcia o swojem sieroctwie, o nieludzkiem postępowaniu linoskoczka który je wykradł rodzicom, o głodzie i bolesnem ćwiczeniu członków, witane były głośnym śmiechem. Nie dziw więc że śmiech ten odbywał przechody konwulsyjne, kiedy przez otwarte drzwi od sali doleciał głos z ulicy, głos który szybkością gromu przelał się z głowy do serca, do żołądka, i tam nutą czułą, nutą gastronomiczną wywołał uczucie, które zgłuszyło by było grę samego Talmy, głos wzniosły i nad wszelkie pojęcie zrozumiały: „*Eier-Baigel, frische Braetzel!*"

Mówią że wesołość udziela się; niewiem czy i głupstwo to potrafi, jednakże pragnę aby łaskawy Jehowa raczył nam zesłać trzodę całą saltimbankow i polichinelów, a wtedy, o wtedy narody nasze w komplecie wylęgną, horyzont nasz zabrzmi głośniejszym i różnonarodnie donośniejszym odgłosem jak huk dział nad Dunajem, wtedy to na wzór Morrisona lub du Barrego, będziemy mogli spekulacyą, zyskowniejszą od wszystkich lekarstw prowadzić, rozsyłając po wszem swiecie w hermetycznie zamkniętych puszkach wesołą atmosferę Złoczowa!

* Cesarzewicz **Karol Ludwik** był we wtorek w Dublanach gdzie różnych maszyn agronomicznych próby się odbywały; najwyższe zadowolenie objawił zgromadzonym, i przyjął najłaskawiej za-

proszenie na członka towarzystwa Agronomicznego. Wczoraj znowu zwiedził wystawę agronomiczną i był obecny rozdawaniu nagród.

* W poniedziałek był wielki występ całego garnizonu za rogatkami janowskiemi przed najdostojniejszym Cesarzewiczem **Karolem Ludwikiem** któremu towarzyszył także Cesarzewicz Arcyksiąże **Karol Ferdynand** feldmarszałek porucznik. Tenże Arcyksiąże przez pare dni pobytu swojego w mieście zwiedził wszystkie dzielnice miasta, był na spacerach, w teatrze a przed wyjazdem samym przepędził godzinę z generałami przy kawiarni wiedeńskiej.

* Dla deszczu ulewnego odłożona została wczoraj odbyć się mająca wielka Serenada przed letniem pomieszkaniem naszego najdostojniejszego Arcyksięcia na wieczór dzisiejszy. Udział w niej weźmie towarzystwo muzyczne i wykona śpiewy choralne, uwertury na całą orkiestrę i grę na fortepianie z akompaniamentem waltorniów.

* Od 1. Lipca b. r. pan Jan Piotrowski obejmuje posadę kapelmistrza (Regens chori) przy naszym kościele Archi katedralnym. Znany powszechnie z gorliwości, zamiłowania i znajomości muzyki odpowie zapewnie godnie temu stanowisku. Dnia 2. Lipca w niedzielę wyprawia sławną mszę Humla pod swoją dyrekcyą.

* Umieściliśmy list nadesłany nam z poczty dobromilskiej. Korespondent zapytuje dla czego w Nowinach niema teraz krytyki teatru. Redakcya uznając iż przy nowej zmianie tak dyrekcyi jak i aktorów, przedsiębierca od razu wszystkiego podług potrzeby i wymagań sztuki urządzić nie może lecz że do uskutecznienia tego potrzeba mu pewnego przeciągu czasu, aby poznał publiczność tutejszą, siły dawniejsze teatru polskiego, i aktorów których zkądinąd sprowadził, zawiesiła na kilka miesięcy umieszczanie rozbiorów teatralnych.

Tymczasem przypatrzyć się można było, jaki kierunek bierze teatr, czego się w przyszłości spodziewać można. Pan Chełchowski zaś, w chwili przejścia w chwili najtrudniejszej, mógł swobodnie, nie ciśniony przez dziennikarstwo, rozwinąć swój plan odbudowania sceny polskiej. Wszystkie początki są trudne. Dla młodych aktorów trzeba pobłażania. Rozpoczynając więc znowu kronikę teatralną, musimy z pobłażaniem być dla młodszych aktorów, z wyrozumieniem dla dyrekcyi. Obojętność, jaka w publiczności szerzyć się poczyna względem teatru polskiego, spowodowała nas wcześniej, niż założyliśmy sobie, rozpocząć szereg uwag o dzisiejszym stanie teatru, i sposobie wzniesienia go. Może to przerwie dzisiejszą apatią. Nie od razu Kraków zbudowany. Między przybyłemi aktorami są talenta z których wykształcić się mogą prawdziwi artyści. Ale potrzeba aby publiczność nie opuszczała teatru, inaczej i przy największych usiłowaniach dyrekcya z niego nic uczynić nie zdoła. Redakcya dla krytyki teatru pozyskała osobnego współpracownika, po którym się spodziewa bezstronnego i słusznego sądu.

* Do dzisiejszego Numeru dołączone są dwie ryciny za 15. Czerwca. Jedna rycina przedstawia mody, druga kolorowane wzory do robót kanwowych. Opis podamy w następującym Numerze. Za kwartał kończący się należyć się będzie jeszcze p. p. prenumerantom mód jedna rycina i jeden arkusz wzorów do haftów.

* W niedzielę d. 18. czerwca głoszono w kościele katedralnym zapowiedzi panny Anieli **Szuszkiewiczówney**, ulubionej niedawno artystki sceny polskiej we Lwowie, z p. Michałem **Chomińskim**, znakomitym artystą dramatycznym teatrów Warszawskich, a bratem śp. Ignacego Chomińskiego, za wcześnie dla sceny polskiej zgasłego, którego przed laty widzieliśmy występującego tu we Lwowie z zasłużonem powodzeniem w rolach pierwszych kochanków i bohaterów.

Przyjechali od dnia 19 do 21. czerwca do Lwowa:

PP. Karnicki Teodor, hr. z Michałowic. Wojczyński Alfons, z Tuligłów. Orłowski Oktawian, z Tustego. Malinowski Lubin, z Ostrowczyka. Wojna Ignacy, z Pietrzyc. Zagórski Mieczysław, z Wołkowa. Makomaski Antoni, z Lublina. Udrycki Adolf, z Choronowa. Wolański Wojciech, ze Rzepnic. Serwatowski Wojciech, ze Szczepanowic.

PP. Lewicki Józef, z Bonowa. Kriegshaber Aloizy, z Kabarowic. Chwalibóg Jan, z Lipowca. Dzieduszycki Kazimierz, hr. z Krakowa. Niezabitowski Napoleon. z Nakła. Pietruski Julian, z Lachowic. Czajkowski Franciszek, z Delejowa. Bocheński Józef, z Głęboczka.

PP. Malczewski Stanisław, z Cześnik. Gottleb Kwiryn, z Dołhomościsk. Guzkowski Kajetan, z Nowegomiasta.

Wyjechali od dnia 19 do 21. czerwca ze Lwowa:

P. Jarwoliński Wincenty, do Mikuliniec.

PP. Smarzewski Piotr, do Moczerad. Fredro Henryk, hr. do Dubanowa. Obertyński Wacław, do Żółkwi. Kielanowski Tytus, do Zelechowa. Cielecki Ferdynand, do Byczkowic. Bojkowski Stanisław, do Bursztyna.

P. Dzieduszycki Włodzimierz, hr. do Bartatowa.

Kurs lwowski.

Dzisiejszy.		Gotówką				towarem.		
Dukat holenderski	złr.	6	kr.	10	złr.	6	kr.	14.
Dukat cesarski	"	6	"	15	"	6	"	19.
Półimperyał zł. rosyjski	"	10	"	45	"	10	"	48.
Rubel srebrny rosyjski	"	2	"	4	"	2	"	5.
Talar pruski	"	1	"	59	"	2	"	2.
Polski kurant i pięciozłotówka	"	1	"	32	"	1	"	33.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	"	92	"	20	"	92	"	35.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam	$108\frac{1}{2}$.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	$129\frac{1}{4}$.	Medyolan za 300 lirów	$128\frac{1}{4}$.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	$151\frac{1}{4}$.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy	$128\frac{1}{2}$.	Agio duk. ces.	
		Srebra agio	29.
Genuą	—.	Pożyczka 5% $85\frac{11}{16}$. $4\frac{1}{2}$	$75\frac{3}{4}$.
Hamburg za 100 tal. banco.	96,	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol.	35	Akcye banku	1286.
Liwurno.	125.	Kolej północna	2140.
Londyn za 1 funt szterl.	12. 37.	Obl. ind.	5%. —

TEATR POLSKI.

W Piątek 23. Czerwca 1854. **Kapitan Paweł Korsarz.** Dramat w 5. aktach z prologiem z dzieł Aleksandra Dumas.

Do sobotniego numeru dołączony był list zwrotny do prenumeraty. Prenumerujący na całe następne półrocze, oszczędzający więc nie tylko sobie kosztów podwójnej przesyłki lecz i wydawcy nakładu na dwukrotny, przy każdym kwartale druk adresów pocztowych, otrzymają jako premią, litografowany portret Kraszewskiego.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. V. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**